

# 0                      Sierpniu antysentymentalnie

—

30 sierpnia 2013

Dla osób, które – jak autor tych słów – przechodziły inicjację polityczną po 31 sierpnia 1980 r., refleksyjny powrót do rozpoczętych wtedy wydarzeń wiąże się z dwojakim niebezpieczeństwem. Przypominając sobie gorączkę na korytarzach siedziby regionalnego zarządu „Solidarności”, czar z pozoru zgrzebnej biało-czerwonej plakietki, jaką się bardzo chciało nosić, niekoniecznie mając po temu formalne uprawnienia, stoiska z książkami przyciągającymi smakiem owocu zakazanego, spotkania z ludźmi, których nazwiska brzmiały co najmniej tak samo sensacyjnie, jak Stirlitz albo J-23, a przede wszystkim podmuchy wiatru wielkiej historii, kołyszącego zarówno telewizyjną anteną, jak i flagami na bramach zakładów pracy czy ulotkami rozrzuconymi na ulicach – łatwo ulec pokusie idealizacji. Co z tak świeżymi i szczerymi emocjami zostało przeżyte – podpowiada w takim wypadku nostalgiczna pamięć – musiało być słuszne i dobre.

Z drugiej strony, nic dzisiaj prostszego, jak uzmysłwić sobie, że w zarządach, do których zaglądali z respektem szarzy sympatycy, toczyła się gra antypatycznych nieraz koterii, że mówcy witani podnieconymi owacjami częstokroć opowiadali androny, zaś lokalne lub powszechnie pogotowia strajkowe obwoływano zwykle bez cienia kalkulacji strategicznej. Nade wszystko, ciepłą atmosferę nostalgicznych wspomnień zakłócają ludzie. Przez minione 15 lat widywało się ich czasami z przerażeniem, a jeszcze częściej – z odrazą. Czy szpetne mogło kiedyś być piękne? Wkraczając tym tropem, przeciwko idealistycznemu upiększaniu występuje demaskacja, która niczego nie chce oszczędzać.

Aby wobec tej podwójnej presji zdobyć się na minimum obiektywizmu, należy – sędzę – w miarę możliwości wziąć w

nawias wszelkie, tak gorące, jak i wrogie emocje. Zamiast nich, do zorientowania się w materiale historycznym lepiej przyczyni się chirurgiczny chłód.

Sierpniową rewoltę w zakładach pracy – a już zwłaszcza jej główny efekt, to jest oczywiście powstanie „Solidarności” – powszechnie oceniano jako zaskoczenie. Początek nie odbiegał jednak od normy, która zdążyła się już ustalić w politycznych realiach PRL. Od grudnia 1970 r. zapowiedzi wzrostu cen żywności niemal automatycznie prowadziły do masowych strajków. Godne uwagi, że na progu sezonu letniego roku 1980 rządząca ekipa starała się za wszelką cenę uniknąć wstrząsów, którymi Niemile doświadczył ją czerwiec sprzed czterech lat. Wystrzegając się oficjalnej decyzji o znienawidzonych podwyżkach, szczególnie poszukiwane i łatwo znikające z rynku gatunki mięsa przesunięto do tzw. sklepów komercyjnych. Na pierwsze protesty, które zaczęły wybuchać w Lublinie i okolicach, władze szczebla lokalnego i centralnego odpowiedziały ustępstwami płacowymi.

Kwestia mięsa i jego cen od co najmniej dziesięciolecia stanowiła jednakże Archimedesowy punkt oparcia, dzięki któremu przeciwnicy ekipy zbyt długo utrzymującej się na szczytach mogli ją nie tylko poruszyć, ale i obalić. Sieć tajnych współpracowników Służby Bezpieczeństwa w zakładach, która w założeniu służyła utrzymywaniu pod kontrolą nastrojów i zachowań zatrudnionych tam pracowników, w takim nadzwyczajnym wypadku czyniła coś dokładnie odwrotnego. Mianowicie, rozniecała bunt zamiast go paraliżować. Ci spadkobiercy „Solidarności”, którzy do dzisiaj się skarżą, że ruch już na samym początku został zinfiltrowany przez agenturę SB, niechętnie zauważają, iż bez udziału tej – w powierzchownej ocenie – z gruntu wrogiej siły, jego narodziny, o ile w ogóle możliwe, byłyby znacznie trudniejsze.

Z dzisiejszej perspektywy, w trafnych na krótką metę kalkulacjach zwierzchników służb specjalnych w aparacie PZPR – na czele ze Stanisławem Kanią i jego mentorem, Mieczysławem

Moczarem – uderza znaczna domieszka ślepoty. Nie dostrzegali oni, że sytuacja strajkowa stanie się podłożem sprzyjającym błyskawicznemu rozrostowi znaczenia nowych czynników w ówczesnej polskiej polityce, które – poddając się nawet doraźnemu wykorzystaniu – w rezultacie wymkną się spod kontroli. Latem 1980 r. opozycyjna cyganeria inteligencka miała prawo przypomnieć sobie, z okresu niechętnie wspominanej młodości, należące do klasyki rewolucyjnej powiedzenie o iskrach, z których wybucha płomień. W dwuznacznych warunkach dekady gierkowskiej, ugrupowania dysydenckie były wprowadzane nękane szykanami policyjnymi, lecz w istocie cieszyły się nieformalnie im przyznaną tolerancją. Bardziej od rewizji i zatrzymań dolegał im nikły odzew społeczny na głoszone hasła.

Mimo słabości swego zaplecza kadrowego, opozycja – zwłaszcza w jej odłamie firmowanym przez KSS „KOR” – zdołała się włączyć do strajkowego ruchu protestu. Przy tej sposobności, potwierdziło się nienowe prawo socjologiczne, zgodnie z którym na ruch zarazem liczny i słabo wykrystalizowany nieproporcjonalnie duży wpływ jest w stanie wywierać gremium stosunkowo niewielkie. Bogdan Borusewicz był w stanie przyprowadzić do Stoczni Gdańskiej zaledwie kilkunastuosobową grupę działaczy, którzy jednak – w przeciwieństwie do tysięcy robotników – znali zarówno język pozwalający sformułować postulaty wobec władz, jak i reguły negocjowania.

Z laickimi dysydentami rywalizował niechętny im Kościół katolicki. Jego hierarchowie i duchowni po raz pierwszy od dziesięcioleci jawnie wystąpili do walki o polityczny rząd dusz. Bramy strajkujących stoczni i kopalń zwieńczyły portrety Jana Pawła II i krzyże, pod którymi odbywały się improwizowane tłumne msze. W instytucji zarządzanej centralnie takie działania z pewnością nie zostałyby podjęte bez dyskretnej aprobaty z najwyższego szczebla.

„Robotnicy 80”, którzy w kwestii tak zakończenia strajków, jak i upierania się przy postulacie nowych związków, potrafili nie słuchać udzielanych im rad Jacka Kuronia, inteligenckich

ekspertów pod wodzą Tadeusza Mazowieckiego, a nawet prymasa Stefana Wyszyńskiego, zasługują jednak, żeby wziąć ich pod uwagę jako czynnik w znacznym stopniu autonomiczny bądź nawet decydujący. Po krótkim zastanowieniu, ich nagła aktywizacja nie może dziwić. W kolejnym już pokoleniu nie znali oni tak oczywistych – i od pewnego czasu w Polsce znowu aż za dobrze poznanych – środków wymuszania dyscypliny, jak bezrobocie czy drastyczna pauperyzacja. PRL-owski zakład był nie tylko miejscem wykonywania obowiązków służbowych, lecz również bazą dla szeroko pojmowanej aktywności społecznej. I wreszcie, wielką naiwnością grzeszyło oczekiwanie kierowniczych gremiów PZPR, iż klasa w oficjalnych deklaracjach przodująca, w nieskończoność zadowoli się tym, że partia, która urzędowo przypisała sobie reprezentowanie jej interesów, będzie mniej lub bardziej udolnie działać dla niej, ale zarazem bez niej.

Inaczej niż partia rządząca, ale równie głęboko, pomylili się entuzjastyczni obserwatorzy wystąpień robotniczych na Wybrzeżu, Górnym Śląsku oraz w słabiej dostrzeganej reszcie kraju. Elity PRL-owskiej inteligencji twórczej dosłownie z tygodnia na tydzień zmieniły adres swej lojalności pragmatycznej oraz idących w ślad za nią hołdowniczych deklamacji. Zaglądając dziś do słynnego w swoim czasie reportażu Ryszarda Kapuścińskiego o strajku w Stoczni Gdańskiej, łatwo zauważyć, że idolom środowisk opiniotwórczych zwykle tam lekceważony robotnik zastąpił obiecującego sekretarza KC. Marksiści rozczarowani do realnego socjalizmu, których wtedy się jeszcze w Polsce trochę uchowało, witali – tak dawno i długo nadaremnie prorokowane przez ich nauczyciela i mistrza – przeobrażenie się proletariatu z biernej i wskutek tego wyzyskiwanej „klasy w sobie” w śmiało upominającą się o swoje „klasę dla siebie”.

Z ich reakcjami współbrzmiały wyrazy podziwu, napływające od zachodnich radykałów, którzy na chwilę uwierzyli, że historia, nieskłonna oszczędzać im rozczarowań, powraca wreszcie na kurs zgodny z ich myśleniem życzeniowym.

Kto nie chciał przewyciężyć obcości wobec symboliki rewolucyjnej o marksistowskim rodowodzie, mógł bez trudu odwołać się do nie najgorzej jeszcze pamiętanych formuł Żeromskiego, Brzozowskiego czy Norwida. Czyżby piękne słowa o ludzie i pracy, zużyte recytowaniem ich z oficjalnych trybun, nareszcie oblekały się ciałem? Dziś wolno już powiedzieć, wprawdzie nie bez żalu: niestety, tak się nie stało. W okresie bezpośrednio następującym po strajkowym sierpniu, pozytywnie uderzała zdolność robotników do samoorganizacji. Związki zawodowe, nazywające się zobowiązująco niezależnymi i samorządnymi, powstały natychmiast i niemal wszędzie.

Na nieszczęście, w rozkwicie idei związkowej tkwił już zarodek jej przyszłej katastrofy. Według dotychczas obowiązujących założeń, związki miały reprezentować codzienne interesy robotników wobec monopolistycznej partii rządzącej, która podejmowała się zadbać o społeczną całość. Polecano im upominać się o – tak określane w ówczesnym języku publicznym – sprawy bytowe i załatwiać je w miarę możliwości. Jednocześnie zaś, odpędzano je na gwałt od współrządzenia nawet na szczeblu zakładowym, o wyższych piętrach już nie wspominając. O tych ograniczeniach, z którymi robotnicy chcąc nie chcąc godzili się w ciągu lat i dekad, kazał zapomnieć widok wicepremierów przybywających do Gdańska, Szczecina i Jastrzębia z nieograniczoną gotowością do ustępstw płacowych. Zwycięstwo w odniesieniu do ideologicznie i politycznie przełomowych pierwszych punktów z listy postulatów strajkowych dopełniło reszty. Robotnicy odnaleźli się w roli hegemonów.

Nie wystarczy jednakże nabrać poczucia siły. Musi towarzyszyć mu zdolność do tworzenia warunków, w których przeświadczenie danej grupy czy klasy o swej zdolności do kierowania krajem spełniałoby się i potwierdzało praktycznie. Tymczasem, wzrost przeciętnej płacy o mniej więcej 20%, który – prawdę mówiąc – przyciągał do „Solidarności” w co najmniej równej mierze jak ideał wspólnego decydowania o sobie, doprowadził wkrótce do огоłocenia rynku. We wspomnieniach o kartkach na mięso i occie

na półkach, którymi w obecnej Rzeczypospolitej do znudzenia ośmiesza się jej poprzedni ustrój, pobrzmiwa ironiczny chichot historii. Pustki rynkowe były bowiem nie tyle prostym skutkiem zasad i praktyki realnego socjalizmu – dlaczego bowiem rzadko kiedy spotykało się je za południową granicą? – co przykrą zapłatą za euforię sierpniową.

Ani w lecie 1980 r., ani jeszcze wiele miesięcy później, chyba nikt nie zdawał sobie sprawy, jak burzliwymi prądami podskórnymi poruszyły ówczesne wydarzenia. Za rządów Gierka utrzymywano chwiejną równowagę pomiędzy ciągle się rozbudzającymi dążeniami konsumpcyjnymi jednostek oraz egalitarnym systemem ich zaspokajania. I bez „Solidarności”, prędzej czy później musiałyby jednak wyjść na jaw, że wszystkim – za sam fakt, iż są obywatelami i pracownikami – udaje się od biedy zapewnić dobra elementarne w rodzaju pogardzanych dziś niewielkich mieszkań, zgrzebnych ubrań czy pralki „Frania”. Dostęp do automatycznej następczyni tej ostatniej wymagał już zróżnicowania wyznaczanego rynkowymi kryteriami zasługi i sukcesu.

Czasami werbalnie porywający program „Solidarności” już u swojej kolebki obciążony był grzechem pierworodnym niemożliwości jego spełnienia. Zawarte w nim aspiracje ograniczały się bowiem do sfery płacy i podziału. Jeżeli nauczycielki lub pielęgniarki nie są w stanie wywalczyć dla siebie podwyżek – mawiał wtedy Zbigniew Bujak – to „Ursus” im solidarnie pomoże. Niewyjaśnione pozostawało, kto wytworzy towary, na których producentom traktorów zależało na równi z opiekunkami ich dzieci.

Hasłom „odnowy” i „reformy”, krążącym wówczas od Bałtyku po Tatry, nieuchronnie dolegała pustka treściowa. Co gorsza, pytanie o racje i kierunek przebudowy ustroju zastąpiono mniej wymagającą intelektualnie kwestią, jaka grupa liderów ma dojść do władzy, albo – jeszcze lepiej – kto komu da radę. Z tego konfliktu żadna strona nie wyszła zwycięsko. Dla „Solidarności” długofalowo bolesna okazała się nie tyle sama

operacja wprowadzenia stanu wojennego, co raczej fakt, że jej członkowie w zdecydowanej większości przyjęli ją biernie. Prawdopodobnie, wyczerpała się im wiara, że pożądanego dobrobytu osiągną eskalacją żądań i decyzji strajkowych. Władza, z kolei, musiała przyjąć do wiadomości, że aktywne jednostki i grupy nie wiążą już nadziei z oficjalnie reprezentowanym i broniącym przez nią ustrojem. Ta obustronna klęska ułatwiła porozumienie przy Okrągłym Stole: wyczerpani bokserzy musieli wreszcie zakończyć walkę. Z drugiej strony, „Solidarność” i PZPR, w miarę ich słabnięcia, zapominały tak o „podstawach socjalizmu”, jak o „Samorządnej Rzeczpospolitej”, na które ich szefowie powoływali się od święta. Po roku 1989 r., polityków obydwu tych formacji stać było już tylko na powielanie sugestii neoliberalnych ekspertów z metropolii zachodnich.

Fatalnemu obrotowi spraw dałoby się może zapobiec, gdyby Polska nie stała się jednym z najgorętszych frontowych odcinków zimnej wojny. Związek Radziecki potrzebował zamrożenia systemowych stosunków i zależności na głównym szlaku zaopatrzeniowym swojej czterystutysięcznej armii w Niemczech Wschodnich. Amerykanów, z kolei, Polska interesowała głównie w powierzanej im funkcji ciernia, który miał drażnić – a jak się uda, to i okulać – rosyjskiego niedźwiedzia. Budzi gorzkie refleksje, że przywódcze elity „Solidarności” – szczególnie po zaniku jej masowego charakteru, który nastąpił po grudniu 1981 – chętnie realizowały to zamówienie, wyrzekając się poszukiwania bardziej samodzielnego miejsca.

Presji zimnej wojny towarzyszył, wzajemnie się z nią wzmacniając, przypływ emocji typowych dla epoki restauracji. Trudno nie przyznać, że realny socjalizm miał swoje rachunki krzywd. Związane z nimi emocje i resentymenty musiały eksplodować, kiedy tylko, po sierpniu 1980, uniosła się pokrywa urzędowo zadekretowanej jednomysłności.

W historycznych rozliczeniach coraz częściej wylewano jednak dziecko z kąpielą. Uzasadnione deklaracje wrogości godziły rykoszetem we względną równość materialną i masowy awans

społeczny. Przestało być jasne, co posierpniowi opozycjoniści mieli za złe zwalczanej przez nie PRL: czy to, że rewolucja, z której państwowość ta się wywodziła, została narzucona przez mocarstwo zwycięskie w II wojnie światowej, czy może raczej fakt, iż ta rewolucja w ogóle się odbyła, obalając przedwojenne społeczeństwo stanowe.

Sierpień 1980, rozbudzając piękne nierzadko mity, w dłuższej skali czasowej przyniósł ich powszechną śmierć. Wiara w romantycznie pojmowany lud bądź proletariat nie zawsze ma za sobą solidne racje. W ówczesnym kontekście, proroczo brzmi myśl Lukacsa, że historię XX wieku określiła dezorientacja klasy robotniczej. Ponadto, z łatwością przychodzi na myśl, że począwszy od najwcześniejszych rewolucji mieszczańskich, zbiorowość plebejska trudziła się i walczyła, lecz plon jej wysiłków zbierał ktoś inny. Natomiast jej najbardziej rzutcy przedstawiciele, zamiast solidaryzować się z towarzyszami niedoli, przenoszą się do obozu zwycięzców.

Patrząc zazdrośnie na pluralizm, kwitnący – jak się nam zdawało – na Zachodzie, nie wiedzieliśmy (nie chcieliśmy wiedzieć?), jak niewiele warte jest zróżnicowanie, które polega głównie na tym, że identyczny co do zawartości treściowej komentarz ukazuje się równocześnie w pięciu wysokonakładowych gazetach. Nie ma demokratycznej polityki bez jej gruntownego umocowania w bycie społecznym, którego kapitalizm – wbrew kursującym legendom ideologicznym – nie tylko nie gwarantuje, lecz na odwrót: wypacza je i niszczy.

W latach 1980-1981, mieszkańcy Polski wierzyli, że losy padające w ich kraju ważą na szalach historii powszechnej. Wtedy jeszcze nie podejrzewali, czym jest podział świata na centrum i peryferie albo kapitalizm zależny.

Porzucając chylący się ku upadkowi realny socjalizm, uczestnicy ruchu „Solidarności” dotarli do brzegów nowego ustroju, który dla większości z nich okazał się krajem spustoszoną. A więc na tej pustyni nic nie przetrwało ze stu

kwiatów Sierpnia 1980? Jeżeli znajdą się ludzie, którzy przed naporem piasku i kamieni będą się bronili dobrowolnym zrzeszaniem, to – być może – razem z teraźniejszością uratują sierpniową przeszłość.

Autor: Jacek Zychowicz

Źródło: [Nowy Obywatel](#)